

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

33

(Ciąg dalszy).

Pan Morailles z twarzą postarzałą i zmęczoną, zasiadł w fotelu, naprzeciw doktora Cruza. Przejścia moralne z powodu zdrady Maud, zostawiły na nim swe ślady; stosunek z Klarą Bell nie zaspokoił ani jego miłości własnej, ani dumy.

— Jakże zdrowie mej żony?

— Lepiej, coraz lepiej! Jest daleko mniej niepokojna, poddała się regulaminowi.

— Ach, tak! — odezwał się pan Morailles, a oczy zabłyśły mu gniewem, tak wiadomość ta zirytowała go.

— Nie bez trudu doszło do tego. Czy pan wie, że chciała się zagłodzić? Musieliśmy użyć radykalnych środków.

Markiz, pojmując dobrze, co oznaczają te radykalne środki, ani powiek nie zmrużył.

— I jak teraz?

— Powraca do siebie, rozpoznaje wszystko, ma jasne pojęcie o ludziach i rzeczach.

— W takim razie — rzekł markiz z ironią — dokonał pan cudu i pańska sława jest zupełnie zasłużoną. Winienem więc tylko podziękować panu i zabrać żonę.

Cruz poblądł. Wypuścić z rąk taką bogatą pacjentkę!

— Oh! zaprzeczył, źle się wytłumaczyłem... Sądzę przeciwnie, dezorganizacja psychiczna markizy jeszcze dość długo będzie trwała.

— Ach, tak — odezwał się pan Morailles uspokojony.

— Mówiłem o polepszeniu częściowym, jakie można zauważyć w pomieszczeniu chronicznym: po okresie podniecenia, następuje okres depresji... To się łączy.

— Tak, istotnie, to się łączy.

— Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby jutro była znowu podniecona.

— Czy przyjmowała jakie wizyty?

— Nie, nikt nie został dopuszczony, chociaż dwie panie pragnęły widzieć markizę.

Pan Morailles uśmiechnął się szyderczo.

— Pani Le Chars?

— Tak i jedna Amerykanka, pani Seymour, ale już nie będą przychodziły. Pani Seymour wraca do Ameryki, a pani Le Chars udała się do męża, do Wenecji.

— Skąd pan to wie? zapytał markiz zdziwiony.

— Gdyż pisały do markizy, a ja listy przejąłem. Proszę: ten jest od Amerykanki, a ten od pani Le Chars; pieczętka stempłowa z Wenecji.

— Istotnie, drogi doktorze, mogę tylko panu powinszować starań, jakie pan okazuje w roli dyrektora zakładu. Lecz cóż ja panu jestem winien? jakie sumy?

— Sumy? Cruz uśmiechnął się.

— Tak, za pierwsze półroczne pobytu żony w zakładzie, wiem, że jest to w zwyczaju. Proszę, pan zechce policzyć.

Markiz podał mu niedbale zwitek banknotów, które Cruz pochwycił z chciwością i przeliczył, potem wystawił kwit, ozdabiając go swym podpisem z wielkim zakreślasem.

— Pragnąłbym przekonać się o stanie zdrowia mej żony, rzekł pan Morailles.

— Czy to będzie roztropne? Nie radzę. Pańska obeność może wzniecić w niej nowe rozdrażnienie i spotęgować gasnącą manję prześladowczą.

— W takim razie zaniecham tego. Poddaję się powadze lekarskiej.

— Może jednak — pospieszył dodać Cruz, obawiając się niezadowolenia swego gościa — nie zaszkodzi, jeżeli przez panią Bock, która wywiera na markizę pewien wpływ, uprzedzę ją ostrożnie?... Zaraz zatelefonuję.

— Dobrze.

W pięć minut potem doktor Cruz został zawiezony do telefonu, a po skończeniu rozmowy zwrócił się do pana Morailles z pewnym zdziwieniem:

— Markiza oczekuje pańskiej wizyty. Istotnie, coraz czuje się lepiej.

— Cieszę się z tego bardzo, wobec tej zmiany będę rozmawiał bez świadków.

— Uprzedzę panią Bock, towarzysząc panu do pawilonu naszej drogiej pacjentki.

Markiza uczuła, jak krew napływa jej do serca, gdy nurse delikatnym głosem oznajmiła jej wizytę męża. Zapanowała nad sobą. Przychodzi zapewne popatrzeć na swój tryumf a jej mękę! Nie ulegnie! Rozległy się dwa lekkie uderzenia w drzwi

i wszedł pan Morailles. Ukłonił się elegancko i rzekł uprzejmie:

— Jak się czujesz, droga Auroro?

— Jako tako. Lepiej, niż się zapewne spodziewałeś.

Wobec tego tonu sarkastycznego, który go dotknął, markiz oburzył się:

— Co za myśl! Przychodzę właśnie...

— By mi zwrócić wolność?

— Może już wkrótce to nastąpi, kochana Auroro, jeżeli tylko będziesz miała dość zimnej krwi, by odpowiedzieć na kilka pytań.

— Ach, doprawdy? Sądzę, że jeśli mam dawać swobodnie odpowiedziedzi, muszę przedtem odzyskać wolność.

— Może właśnie przynoszę tę wolność.

— Ach, jest jakieś: może!

— Tak, jest! Twój stan nerwowy wymagał, lub przynajmniej usprawiedliwiał przewiezienie cię tutaj.

— Nie obawiaj się i zrzuć maskę, jesteśmy sami. Nikt nas nie słucha. Miej odwagę być szczerym.

— Mam ją! Jesteś tutaj z mej woli i tak długo pozostaniesz, dopóki mi się to podobać będzie.

— Istotnie, jest to szczerść. Szczerść zbrodniarza!

— Takie słowa mnie nie dotyczą. Zapominasz, jakimi znieważającymi słowami ja ciebie mogę zgnieść.

— Mnie?

— Ciebie!

— Nie rozumiem.

— Zaraz to pojmiesz. Jesteś tutaj pod bacniejszą strażą niż w więzieniu; jeżeli zechcę, zwiędniez tu, zgnijesz w tych murach, zapomniana, umarła dla świata, jakbyś istotnie była już w grobie.

— Wiem, że jesteś sędzią i katem. Lecz czy powiesz, dlaczego zostałam skazana?...

— To ty mi możesz powiedzieć, Auroro. Tyś winna wyznać, ponieważ jesteś dzisiaj przy zdrowych zmysłach, swe przestępstwa względem mnie.

Markiza roześmiała się urywanym głosem, a w oczach jej zamigotał jakiś szalony błysk.

— Przestępstwa! Przestępstwa względem ciebie, coś mi życie uczynił męczarnią. Względem ciebie, coś mnie brudził skandalami swego życia, coś śmiał porównywać mnie z płótnami swemi kochankami.

— Oh, tylko o swej cnocie nie wspominaj — przerwał markiz — kto tak, jak ty miał kochanka, kto spłodził z nim bękarta, kto do domu wnosił kłamstwo i fałsz, ten nie śmie mówić o cnocie, winien unieść się...

— Przed tobą, ja, nigdy!

— Posłuchaj mnie, jeżeli chcesz, nie mówię, by powrócić do dawnego życia, lecz oddalona od świata żyć w zamku Haut-Briand, wyznaj mi swój błąd. Chcę to usłyszeć z twych ust.

— Szalony jesteś! To jest tylko rzeczą mego sumienia, lecz nigdy twoją. Twoje postępowanie zwolniło mnie od przysięg małżeńskich! Dosyć już doznałam wstydu, będąc twoją żoną.

Pan Morailles przyrzekł sobie zachować spokój, lecz wściekłość i gniew wstrząsły nim. Schwycił markizę za rękę i omal jej nie zgruchotał.

— Wyznaj! Wyznaj nieszczęsna!

— Nic nie powiem! Możesz mnie nawet zabić!

— Boisz się o swego bękarta! Ach; jak tyś mnie oszukiwała przez tyle czasu! Jakie sceny obrażonej cnoty odgrywałaś! Lecz teraz ja wiem wszystko, mam ciebie, a kiedy nie chcesz wyznać, nie wyjdiesz stąd nigdy!...

— Czyś ty sądził, żem ja uwierzyła w twe przyrzeczenie uwolnienia mnie?

— Takaś domyślna! Nie, istotnie, nie dotrzymałbym tego. Co mi zresztą zależy na twych słowach, kiedy ja posiadam twój sekret i mogę mścić się na tobie i na twojem dziecku.

— Mścić się! A czyż ty co innego robisz?

— Zaczynam dopiero. To tylko początki! Dlaczego twój bękart nie utonął wtedy, dlaczego ten głupi Le Chars nie roztrzaskał się wtedy zupełnie. Lecz ja się postaram o jego ruinę. A ty chociaż ocaliłaś życie mimo ukaszenia zmił, będziesz tu tkwiła w tych murach miesiące, lata, całe życie!

Pan Morailles stracił zupełnie panowanie na sobą. Z pomarszczoną twarzą, z wykrzywionymi ustami stał się straszny i wstrętny.

— Nędzniku! — powtarzała markiza. — Nędzniku!... wreszcie zrzuciłaś swą maskę i okazałaś się takim, jakim jesteś, lajdakiem! Chcesz mnie zgnębić, lecz wiedz, że we mnie pozostaje coś nieśmiertelnego, czystego, czego brudnymi rękami swymi dotknąć się nie możesz. Tak, kochałam! Wyczerpana mękami i poniżeniem, oddałam się całą duszą i ciałem człowiekowi szlachetnemu. Tak, mam syna. Byłam najszcześniejszą matką, będąc najniebezpieczniejszą żoną, lecz mam w sobie rzecz, której nie

możesz się dotknąć: pamięć i miłość dla tych dwójga ukochanych, Roberta i Jacka!... Możesz mnie męczyć wszelkimi cierpieniami, lecz nie złamiesz mej miłości kochanki i matki i nienawiści do ciebie!

— Sama na siebie wydałaś wyrok! Żegnam panią, umrzesz tutaj razem z waryatami; oni będą towarzyszami dalszego twego życia.

Spojrzał jeszcze raz na żonę z niewysłowioną wściekłością i wyszedł, ścigany jej rozpaczliwym śmiechem.

XXXI.

OCZEKIWANIE WIERY.

— Proszę pani — rzekła Dody do pani Seymour, gdy przyszła rano po zwykłe, dzienne rozkazy — jakaś dama pragnie widzieć się z panią Le Chars. Mówi, że jej nazwisko nic nie objaśni, lecz że interes ma bardzo pilny.

W chwili tej weszła Joanna; porozumiała się wzrokiem z panią Seymour i rozkazała:

— Proszę wprowadzić.

Ukazała się pani Berty. Przyniosła list od Wiery, który Joanna przeczytała pospieszenie i podała go następnie zniechęcona swej przyjaciółce. Na liście nie oznaczona była ani data, ani miejsce. Zawierał on te słowa:

„Moja droga Joanno.

Bardzo dobrze zrobiłaś, żeś do mnie napisała. Wszystko, co będzie zależało ode mnie, by ocalić naszą przyjaciółkę, uczynię. Nie wiem jednak ani dnia, ani godziny, kiedy powrócę do Paryża. Zrozpaczone serce moje, nie może wybierać pomiędzy dwoma obowiązками, przyjacieli i sprawy, której służę. Nie mogę wcześniej przybyć na pomoc Aurorze, dopóki nie będę miała wolnych rąk i woli. Znasz mnie dobrze i jesteś pewna, że potem ani minuty nie będę zwlekała. Powierz pani Berty, która jest tak pewna jak i ja, całą sprawę. Ona zacznie to, czego ja dokończę.

Nie wahaj się. Pośpiech przedewszystkiem.

Twoja przyjaciółka

Wiera“.

Spojrzały na siebie z wahaniem, potem wzrok ich przeniósł się na panią Berty. Garbata z zupełną swobodą oczekiwała taktownie na ich decyzję. W oczach jej malowała się energia. Joanna pomyślała o Aurorze. Czyż nie należało ocalić jej za wszelką cenę, nie zważając na pomocników, ani na ryzyko, jakie przedstawia podobna interwencja?

— Wiera radzi nam zaufać w zupełności pani — odezwała się Joanna. — Proszę, niech pani przeczyta list, potem będziemy rozmawiały.

Nastąpiła długa rozmowa, prowadzona przyciszonym głosem; pani Berty, milcząca i uważna, zdawało się, iż ryje sobie w pamięci każde słowo. Przez chwilę pozostała zagłębiona w swych myślach.

— Nie będę już mówiła, że pani straciła wiele czasu, zwlekając z tem wyjaśnieniem. Nie mogłam sama wnikać w pani sekrety. Zabieram się odrazu do pracy. Wiem z resztą, że panie korzystają także z innej pomocy.

— Pan Cockley — odezwała się pani Seymour — posiada moje całe zaufanie. Jeżeli pani pragnie poznać się z nim...

— Zupełnie słusznie ufa mu pani. Należałoby nie mieć najmniejszej styczności z policją polityczną, a panowie Rogers i Cockley również się nią zajmowali, by nie wiedzieć o ich zręczności. Pozwólą jednak panie, że wyrażę tu jedno pragnienie. Nie chcemy ani pomagać ani hamować pracy mister Cockleya. Sami będziemy mu przeszkadzali i on nam będzie przeszkadzał, a co gorsza, możemy go skompromitować. On jest urzędnikiem policyi, my zaś żyjemy poza prawem. Nasze drogi nie mogą się schodzić.

— Co więc uczynić? zapytała pani Seymour.

Pani Berty uśmiechała się ciągle na widok załatwiania obu pań.

— Oh, wszystko bardzo prosto. My przygotowujemy się i gdy panu Cockley mimo zręczności nie powiedzie się, wtedy zajmujemy jego miejsce. Jedną mam tylko prośbę: proszę nie wspominać o nas panu Cockley. I on i my będziemy swobodniejsi.

— Lecz czas nagli...

— Czy woli pani, bym działała bez Wiery?

— Nie — odparła Joanna, podczas gdy pani Seymour, mając na uwadze tylko rezultat, zauważyła stanowczo:

— Ja bym powiedziała, że tak! Lecz nie tracąc czasu...

— Już dzisiaj wieczór, rzekła pani Berty, be-